

Lewica fundamentalistyczna, czyli powrót do korzeni

14 marca 2016

Przyznaję – tytuł tekstu to prowokacja. Przecież każdy szanujący się lewicowiec wie, że fundamentalizm – tak jak populizm czy nacjonalizm – jest z gruntu nielewicowy! Jednak gdy odrzucimy epitety, okaże się, że populizm to w rzeczywistości nic innego jak solidarność z realnym (a nie wyimaginowanym) ludem, zaś nacjonalizm może oznaczać dążenie do upodmiotowienia społeczeństwa (jak w przypadku ruchów narodowowyzwoleńczych), dlatego warto też zdemistyfikować pojęcie fundamentalizmu. Jest to idea powrotu do podstaw (fundamentów) danego systemu wartości, światopoglądu czy doktryny, poprzez odrzucenie późniejszych wypaczeń, a zwłaszcza obcych naleciałości. Idea ta może się odnosić nie tylko do religii, ale też do świeckiej ideologii.

Czy również lewicowej? Gdy w dyskusjach z nowolewicowymi adwersarzami podpierałem swoje kontrowersyjne poglądy przykładami z dziejów ruchu robotniczego i społeczno-wyzwoleńczego, ci na ogół tylko wzruszali ramionami: „może i było tak kiedyś, ale nic nas to nie obchodzi, bo istotą lewicy jest ciągły postęp, rozwój, zmiana”. Przyszło nam jednak żyć w czasach, w których zmiana konfuduje nawet najbardziej zagorzałych lewicowców. Do tej pory niejako konstytutywną cechą lewicowości był historyczny i antropologiczny optymizm (spór między reformistami i rewolucjonistami toczył się jedynie o tempo historycznego postępu) – teraz zaczynają pojawiać się nuty zwątpienia i rozgoryczenia, desperacji, wręcz hysterii (ot, choćby tutaj). Niestety, na ogół jest to bezradny lament dziecka, które nagle odkryło, że tak naprawdę za brodą Świętego Mikołaja ukrywa się niemiły pracownik hipermarketu, albo bunt nastolatka rozczarowanego szarą rzeczywistością swej rodziny, nijak nie przypominającą życia w modnych serialach.

Na tym tle rzeczowością i trafnymi obserwacjami wyróżnia się ważki tekst Krzysztofa Posłajki „Rok zapowiedzianej przyszłości”. Warto przeczytać go w całości, tu zacytuję tylko najistotniejszy, moim zdaniem, fragment: „Lewicowy projekt polityczny jest bowiem oparty na pojęciu postępu – a dokładniej na założeniu, że z postępem technologicznym powinien iść w parze postęp społeczno-etyczny. Lecz w sytuacji, gdy sądzymy, że mamy do czynienia z upadkiem cywilizacji, wiara w jakikolwiek postęp społeczny jawi się jako naiwność”.

Posłajko podniósł problem o absolutnie podstawowym znaczeniu, którego waga zdaje się wykraczać poza horyzont większości obserwatorów. Otóż istotą lewicowości od XVIII w. jest połączenie pewnego fundamentalnego systemu wartości (Wolność – Równość – Braterstwo) z ideą Postępu, czyli przekonaniem, że zmiany są nie tylko historycznie zdeterminowane, ale też prowadzą w nieunikniony sposób w pożądanym kierunku. Rzeczywiście, przez dwa stulecia było to prawdą. Każde kolejne pokolenie Europejczyków (na innych kontynentach wskutek kolonializmu było to bardziej powikłane) żyło w większym dobrobycie, doświadczało mniejszych nierówności, miało więcej praw i swobód. Jednak dwieście lat to króciutki wycinek w dziejach ludzkości, a formułowanie na tej podstawie praw historycznych jest dość ryzykowne.

Wątpliwości wobec tej metafizycznej (bo zapożyczonej poprzez Hegla z chrześcijaństwa) idei Postępu wyrażali nie tylko zdeklarowani reakcyoniści, ale też ludzie tacy jak Izajasz Berlin: „Ja nie dostrzegam stopniowego postępu. Oczywiście więcej wiedzy, szczęścia, dobroci, wolności, wydajności oznacza postęp. Niektórych z tych rzeczy mamy teraz więcej niż w innych epokach, innych mniej. Czy w dwudziestym wieku – niewątpliwie jednym z najgorszych w historii rodzaju ludzkiego – ktoś może jeszcze wierzyć w nieprzerwany postęp ludzkości? Albo w postęp w ogóle? Czy można w ogóle mówić o postępie, nie precyzując o jaką dziedzinę chodzi? Można mówić o systemie

wartości, który większość ludzi na Zachodzie akceptuje obecnie, a nie akceptowała dwa tysiące lat temu; jest to postęp z punktu widzenia naszych wartości – pod pewnymi względami, a pod innymi nie. Ale ogólny ruch w jakimś określonym kierunku – nie, tego nie dostrzegam”...

Teraz rzeczywistość wdziera się już nawet pod najsilniej zaciśnięte powieki. Schyłek XX wieku przyniósł załamanie się progresywizmu. Vaclav Havel mówił w 1992 r.: „Upadek komunizmu oznacza koniec modernizmu. Tej ery, która zaczęła się w renesansie i rozwijała się przez oświecenie do socjalizmu, od pozytywizmu do scjentyzmu, od rewolucji przemysłowej do rewolucji informatycznej. Oznacza koniec ery, w której człowiek uważał, że może wszystko objaśnić i kontrolować, jest końcem ery ideologii, doktryn, poszukiwań uniwersalnej teorii świata i klucza do dobrobyt”.

Wbrew nadziejom „prawdziwej lewicy” upadek „realnego socjalizmu” nie otworzył drogi dla nowych eksperymentów w poszukiwaniu lepszego świata, ale zepchnął lewicowców do niekończącej się defensywy (pomijam z premedytacją kwestie obyczajowe). Kolejne dekady przynoszą pogłębianie się nierówności, demontaż osłon socjalnych, deregulację, liberalizację itd. Nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, na całym świecie. W imię czego? W imię nowoczesności, tj. wydajności, konkurencyjności, otwartości, elastyczności, mobilności. Może to być zjawisko trwałe – Ted Kaczynski zauważył, że technologia jest z natury elitarna: im bardziej skomplikowana, tym mniej ludzi jest w stanie ją kontrolować. To dziś jest postęp – ten realny, przez małe „p”.

Już tak bywało w historii. Z górą tysiąc lat temu Słowianie żyli we wspólnotach rodowych – demokratycznych, względnie egalitarnych. Ale nadeszli książęta, możni, misjonarze i ustanowili feudalizm. Wtedy to był postęp. Rozwojowi kapitalizmu w Anglii towarzyszyło rugowanie chłopów z ziemi i pauperyzacja miejskiego proletariatu. Skutki kolonialnego „postępu” w XIX-wiecznych Indiach dobitnie opisał Marks.

Gdy postęp/nowoczesność coraz bardziej rozchodzi się ze sprawiedliwością/równością, lewica pozostaje zdezorientowana niczym żaba z dowcipu („przecież się nie rozdwoję!”). Chciałaby być za, a nawet przeciw. Być za postępem technologicznym – ale przeciw zwalnianiu pracowników, za globalizacją – ale przeciw jej neoliberalnym implikacjom, za uciskanymi mniejszościami – ale przeciw ich partykularyzmowi. Nieodmiennie jednak za postępem, a przeciw konserwatyzmowi (nawet jeśli wymaga to semantycznych i logicznych łamańców).

Dogmat, że zmiany muszą być zawsze dobre, sprawił, iż lewicowcy en masse zaakceptowali wszelkie, nawet najbardziej kontrowersyjne nowinki obyczajowe (w XX w. wcale nie było to oczywiste). Nawyk „stania w awangardzie postępu” przyniósł skutek w postaci upowszechnienia się taktyki nazwanej przez Lenina wdzięcznie „chwościzmem” (ros. chwost – ogon). Gdy pojawia się jakieś poruszenie – wszystko jedno: na londyńskim rave party czy kairskim placu Tahrir – lewicowcy muszą tam być, choćby wirtualnie. Niestety te jaskółki lewicowej wiosny najczęściej okazują się wybudzonymi nietoperzami partykularnych konfliktów. Przymus „postępowości” prowadzi też do niezliczonych dezercji: kolejni bojownicy lewicy dochodzą do logicznego wniosku, że skoro lewicowość to postęp, a postęp to imperialistyczna globalizacja i neoliberalizm – trzeba to zaakceptować. Wymieniać by tu można i Tony’ego Blaira, i Jose Barroso, i amerykańskich neokonserwatystów, i wschodnioeuropejskich postkomunistów, ale przypadek Syrizy jest chyba najbardziej żałosny.

Wszystko to sprawia, że lewica nie jest w stanie wykorzystać potencjału oporu przeciw zmianom, który przechwytyją prawicowe ruchy populistyczne, ksenofobiczne i fundamentalistyczne. I lamentuje, że lud nie dorósł do swej światłej awangardy. Że w Polsce robotnicy wolą głosować na PiS niż na Razem, we Francji wolą Front Narodowy od Nowej Partii Antykapitalistycznej.

„Co robić?”, zapytałby Lenin. Odpowiedź nie jest łatwa, bo i problem jest trudny. Odpowiedzi mogą być dwie, obie bolesne,

oznaczające rozdarcie, pożegnanie się z częścią lewicowego dziedzictwa. Odpowiedź pierwsza to Lewica Postępu – lewica płynąca z prądem, akceptująca każdą zmianę, bez względu na wysokość kosztów „postępu”; lewica utożsamiająca się bez zastrzeżeń ze swoją nową mieszczańską bazą społeczną – produktem i beneficjentem przemian. Ale są też na lewicy ludzie, którzy zawsze stają po stronie przegrywających, po stronie rugowanych z ziemi chłopów czy tracących pracę górników, po stronie Indian przeciw kowbojom, choć to ci drudzy nieśli „postęp”. Bracia Strugaccy w opowiadaniu „Las” napisali: „Mam gdzieś fakt, że Kaczonóg [taka wioska – J.T.] to kamyczek w żelaznych żarnach ich postępu. Zrobię wszystko, by na tym kamyczku żarna się zaklinowały”. To odpowiedź druga – Lewica Wartości, broniąca zasad Wolności, Równości i Braterstwa nawet wbrew dominującym trendom, wbrew „postępowi”. Lewica sięgająca do swych korzeni. Lewica fundamentalistyczna.

Posłajko we wspomnianym tekście pisze: „Zadaniem dla lewicy jest zatem teraz stworzenie takiego progresywnego projektu politycznego, który będzie się przedstawiał jako możliwy do realizacji w czasach kryzysu późnodwudziestowiecznego porządku”. Uznając, w kontekście tego, co napisałem powyżej, słowo „progresywnego” za retoryczny ozdobnik, pozwolę sobie zaproponować swoją wizję takiej lewicy na czas kryzysu. Moim zdaniem w sytuacji, gdy Postęp jest problematyczny, a Wolność niesie zagrożenia, lewicowy projekt adekwatny do ery zamętu musi ogniskować się wokół idei Solidarności (Braterstwa, jak kto woli). To właśnie poszukiwanie bezpieczeństwa, stabilizacji, oparcia w obliczu narastającego chaosu pcha ludzi w objęcia prawicy. Oczywiście solidarne społeczności mogą być rozmaicie zorganizowane – rolą lewicy jest walka, by stosunki międzyludzkie w ramach zbiorowości były oparte na zasadach maksymalnej możliwej równości i wolności.

Otwartym pozostaje pytanie o zasięg tej wspólnoty. Lewicowiec będzie oczywiście zawsze marzył o braterstwie uniwersalnym, wszechludzkim, w którym „już nie ma Greka ani Żyda” (List do

Kolosan, 3). Warto jednak odróżnić program minimum od celu ostatecznego. W warunkach rozkładu więzi społecznych, atomizującego hiperindywidualizmu, postępującej anomii należy pielęgnować KAŻDĄ formę międzyludzkiej solidarności, zaczynając na najniższym poziomie, wychodząc od najbardziej elementarnych form: rodziny (niekoniecznie tradycyjnej), wspólnoty sąsiedzkiej. Myśl globalnie, działaj lokalnie! Nie oznacza to idealizowania partykularnych form wspólnotowości, które nader często pozostają ze sobą w konflikcie; zadaniem lewicy byłoby harmonizowanie interesów jak najliczniejszych grup i stopniowe integrowanie ich na coraz szerszej podstawie.

Koncepcja budowania solidarności „od dołu”, od tego, co bliskie, zrozumiałe, konkretne, może się jawić obrazoburczą. Wszak przeciętnemu lewicowcowi wszelki partykularyzm kojarzy się jak najgorzej – to Kaczyński, Orban, Trump, Państwo Islamskie... Obecnie jednak jedynym REALNYM uniwersalizmem jest uniwersalizm globalnych korporacji. W tych warunkach partykularyzm może stać się bastionem oporu – jak w przypadku Palestyńczyków, zapatystów, Kurdów. Perspektywicznie partykularyzm może być etapem pośrednim w budowie innego uniwersalizmu – szanującego, a nie niwelującego lokalne odrębności, zachowującego autentyczną wielokulturowość.

Przyjęcie takiego programu – powrotu do fundamentalnych wartości, do lewicowości starej, prastarej, archetypicznej – oznaczałoby trudne przewartościowanie, bolesną transformację. Byłaby to inna lewica, lewica pozbawiona złudzeń. Ale byłaby to lewica odpowiadająca na wyzwanie narastającego kryzysu.

Autorstwo: dr hab. Jarosław Tomaszewicz

Źródło: NowyObywatel.pl